

XII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienski Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka - KOZIENICE 2014
Iwona Hulewicz - kategoria dorośli - proza - I nagroda

Kolor chwili

Szłyśmy na spacer wzdłuż szemrzącego leniwie nurtu, matka niepewna, jakby zagubiona w tym miejscu, zrywała wybujałe chwasty i szarpała je na drobne kawałki. Buty zapadały się w podmokły grunt. Za plecami matki oswajałam rzekę. Karmiłam ją kamykami wrzucanymi w nurt. Połykała je łapczywie. Skradałam się ostrożnie w kierunku jej brzegu, wyciągając rękę, jakby była psem, którego próbuję obłaskawić.

- Nie bój się, nie bój” – szeptałam tak, by matka tego nie słyszała. Ale ona szła przede mną, nieobecna. Myślałam już, że się uda. Przez chwilę byłam już tak blisko, wyciągnęłam rękę w stronę połyskliwego nurtu kolorowej wody, balansując niepewnie na porośniętym chwastem brzegu. Poczułam szarpnięcie.

- Nie rób tak. Tyle razy mówiłam... Chcesz się utopić, no chcesz?

Nie rozumiałam, co to znaczy się utopić... nie rozumiałam jej wściekłości. Kolorowa woda kusiła mnie jak kolorowa wstążka, jak błyskotka.

- Co za ściek” – szepnęła matka. Nikt jej nie słyszał. Tylko ja. I rzeka.

Rzeka mojego dzieciństwa płynęła wąskim i płytkim korytem, porośniętym chwastami. Woda ciurkała leniwie, jak gad, który skrada się wśród chaszczy. Czasem prawie zniknęła, wąska strużka niewidocznie przyczajona na dnie, niegroźna. Czasem wzbierała gwałtownie, sięgała coraz wyżej, lizała coraz zachłanniej brzeg. Ale nie to było w niej niezwykle – to potrafi przecież każda rzeka. Ta zmieniała się nie do poznania. Jej mętny, szary nurt niespodziewanie zabarwiał się kolorami, których jako dziecko nie potrafiłam nazwać. Czasem rzeką płynął kolor cytryn, takich, jakie widywało się tylko na święta. Kiedy indziej kolor butelek z zielonego, grubego szkła, w których sprzedawano oranżadę. Czasem był to kolor czerwonej szminki, jakiej używała dyrektorowa fabryki, która przychodziła na przymiarki do matki – myślałam, że może idąc do nas brzegiem rzeki, wyrzuciła tę szminkę do wody, barwiąc ją na kolor karminu.

Rzeka wyznaczała granice znanego mi świata. Szło się za rzekę. Szło się do fabryki, jak ojciec. Szło się na zakupy, do szkoły. I wracało się zza rzeki. Jej wąska struga, jak rozpruty szew, oddzielała nas od miasta.

Mieszkaliśmy w domu nad rzeką, ostatnim, jaki pozostał tu przy życiu. Był przygarbiony, jakby wstydliwie przyczajony wśród wybujałych traw, poszarzały, jakby rzeka splukała z niego kolor zostawiając ściany pełne zacieków, błotniste podwórze, przydymione okna. Matkę - w szarej podomce. Ojca – w roboczym ubraniu. Na łąkę od strony fabryki wdzierało się nowe osiedle bloków. Odgrodziło nas od miasta, obudowało szczerline krajobraz, oddzieliło od dymiących kominów, od hałasu ulic drgających pod ciężarem samochodów, które niczym pracowite mrówki kursowały tam i z powrotem.

Ojciec pracował w fabryce. Przyklejałam nos do szyby, kiedy wychodził, szedł nad samym brzegiem rzeki, aż do próchniejącego mostka. Tam sylwetka ojca gwałtownie szarzała i nikła. Rozpływał się w powietrzu. Wyglądało to jak sztuczka iluzjonisty, ale zawsze wtedy ogarniał mnie strach, że zniknie na zawsze. Ojciec znał jeszcze inne sztuczki i zaklęcia, magiczne składniki, ich sekretne proporcje. Potrafił wyczarować kolory, którymi barwił rzekę na żółć, zieleń lub rubinową czerwień. Oznaczał je tajemniczo, tak by nikt nie przejrzał jego sekretów, dla niego kolory mieściły się w zwężonych kodach i numerach, w cyfrach i przelicznikach.

Matka nie zniknęła na próchniejącym mostku. Zostawała w domu, to tu miała swoje szmaciane królestwo, w którym zamykała się przed światem. Kiedy ojciec zniknął na końcu ścieżki, matka podgrzewała mleko dla mnie i gotowała zbożową kawę dla siebie. Piła ją dużymi haustami, gorącą, parząc sobie usta. Siedziałyśmy przy stole nakrytym ceratą w róże, zawsze przyklejała mi się do rąk. Matce trudno było wysiedzieć w miejscu, nawet przez krótki czas posiłku. Zawsze się spieszyła, żeby skończyć szycie, zanim przyjdzie klientka umówiona na przymiarkę. Od czasu do czasu poganiała mnie, rzucając "jedz". Później siadała do maszyny - jej turkot odmierzał rytm mojego dnia.

Ślinała nić, zanim ją nawlekła. A później sprawnie naciskała ażurowy pedał, a igła migiała srebrem wśród fal materiału. Potężna szafa w rogu pokoju zawsze była zapchana zwiniętymi kawałkami tkanin, zwojami, ścinkami, szmatkami i resztkami, które wysypywały się z półek, wylewały z szuflad. Wzorzyste i gładkie, jaskrawe i pastelowe. Powiewne w kwiaty, ciężkie o grubym splocie w kratę. Królestwo szmatek. Czasem myślałam, że to właśnie one wypływają nocą z naszego domu, płyną niskim progiem przez błotniste podwórko a później spływają brzegiem i napęniają rzekę kolorami. Kiedy matka nie patrzyła, wyciągałam z tych zwojów resztki i ścinki, układałam z nich rzekę z kolorowej wstążki, pole chwastów, osiedle z przybłokowymi ogródkami, most i dalekie domy w centrum, których dachy widać było nad polami. Wiązałam gałganki w kształty postaci i stworzeń, które zaludniały mój świat nad rzeką.

Matka pracowicie kroїła, szyła, upinała materiał na wytartym manekinie w kącie pokoju, fastrygowała, turkotała maszyną, strzepywała nitki, wpinała szpilki. Pochylona wykańczała szwy, wszywała zamki błyskawiczne, doszywała koronki, hafty, guziki. Trwałyśmy tak wśród turkotu maszyny, bez słów.

Klientki przychodziły na przymiarki. Szły zza rzeki, błotnista drogą, stąpając ostrożnie i starając się nie pobrudzić swoich eleganckich bucików. Za parawanem zdejmowały ubranie i zakładały nowy strój. Stawały nieruchomo przed lustrem, uważnie wpatrując się w swoje odbicie. Przypominało to zabawę lalkami. Przebieranie ich na bal, albo na zabawę w parku, albo na imieniny u znajomych.

- Pani Stasiu, tu chyba za luźno...

Matka, ubrana w znoszoną podomkę, krzątała się wokół nich tak długo, aż w ich oczach nie dostrzegła zadowolenia, aprobaty albo błysku zaspokojonej próżności.

Im dłużej trwała przymiarka, tym bardziej lalki się ożywiały. Zaczynały się kręcić, bo już ścierpła im noga albo ręka, bo niewygodnie stać tak długo w tej samej pozycji. Bo już trochę znudziła je monotonia całej zabawy. Zaczynały mówić, jak lalki, które nakręcało się specjalnym kluczykiem. Nigdy nie miałam takiej lalki. Miałam tylko je - żywe manekiny w koronkowych haleczkach, gadające jak nakręcone. Mówiły o mężach pracujących w fabryce, o dzieciach, ich chorobach, szkolnych występach. O tym, że pogoda dzisiaj taka nie bardzo. I o tym, co najlepsze na ból głowy. Czasem dostrzegały także mnie, w kącie pokoju. „O jakie miłe dziecko!” Jakie spokojne.” „Mój nawet pięciu minut nie usiedzi na miejscu”. Przypominały matce o moim istnieniu. Patrzyła na mnie przez chwilę, może lekko się uśmiechając. Nawet gdyby chciała coś odpowiedzieć, nie mogła, usta zawsze miała pełne szpilek.

W niedzielę starannie wykończone sukienki spacerowały główną ulicą miasta, w towarzystwie odświętnych garniturów i dziecięcych ubranek, które matka też z czasem w pośpiechu dopasowywała. Szły na lody lub na lemoniadę, a po południu zakwitały na naszej łące.

Wyciągałam wtedy ojca na spacer nad rzekę. Matka nigdy z nami nie chodziła. „Nie mam się w co ubrać” mówiła, jak zwykle mówią kobiety. W jej przypadku była to prawda.

- Chodźmy już, chodźmy, ciągnęłam ojca za rękę, gdy tylko skończył jeść obiad.

Latem nad rzeką wędkarze rozstawiali swoje niziutkie stołeczki i zanurzali wędkę w czerwonej lub żółtej wodzie.

- Tato, kiedy coś złapią? – ciągnęłam go za rękaw i pytałam szeptem, Chociaż wiedziałam, co odpowie, a wtedy wędkarze zawsze patrzyli na nas niechętnie.

- Nigdy - odpowiadał. - Chyba, że złapią stary but.

Kiedy był w dobrym nastroju żartował: - A może złapią krokodyla?

- Krokodyla, tato?

- Albo kameleona.

Nie rozumiałam, ale śmiałam się razem z nim. Rzeka nie pachniała mułem, ani wodą, ani rybą. Pachniała gorzko, metalicznie, trochę tak jak farby drukarskie albo świeżo farbowane tkaniny, które klientki przynosiły do szycia. Spod lady, jak mówiły.

Przy ładnej pogodzie nad rzeką rodziny z dziećmi rozkładały koce i przynosiły kosze piknikowe. Mówiliśmy „dzień dobry” mijanym osobom, większość jak ojciec pracowała w fabryce. Czasem ktoś nas zaczepił, czasem ktoś zagadnął, czasem poczęstował mnie landrynką. Nad brzegiem przechadzały się dziewczyny w kolorowych sukienkach, które jeszcze niedawno wisały na wieszaku w naszym pokoju, niektóre spacerowały z przyjaciółką – nierozłączką, niektóre z chłopcem, unosiły swoje sekrety w kierunku brzoźowego zagajnika.

Nie pamiętam, kiedy rzeka straciła kolory. Nie pamiętam, w którym momencie zamieniła się w brudny ściek. Kiedy przestaliśmy chodzić na niedzielne spacerunki i patrzeć jak wędkarze zanurzają wędki w barwnej wodzie. Pewnie miało to jakiś związek z tym, że ojciec przestał pracować w fabryce i nikt już nie barwił rzeki kolorami. Nie pamiętam, kiedy ludzie przestali przychodzić na pikniki nad rzeką. I czy to miało jakiś związek z tym, że maszyna do szycia w naszym domu turkotała coraz rzadziej. Nie wiem, ile upłynęło wody, od czasu, kiedy oswajałam rzekę do chwili, kiedy moja matka spojrzała na mnie uważnie pewnego wieczoru. Miała taką minę, jakby zobaczyła mnie tu po raz pierwszy i dziwiła się niespodziewanemu gościowi przy swoim kuchennym stole.

- Kiedy ty tak urosłaś... – powiedziała. I dodała zupełnie cicho: - Nie zauważyłam.

Tego wieczoru kazała mi stanąć przed wielkim, trochę zmatowiałym lustrem. Za parawanem. Odgrodziłyśmy się od ojca, który uważnie wertował stare gazety przy kuchennym stole. Zaczęła otulać mnie zwojami materiałów, zapomnianych już tkanin. Szczęknęły nożyce:

- W tym kolorze byłoby ci ładnie – ożywiła się, błysnęły jej oczy.

Karminowa sukienka nie była chyba odpowiednia dla nastolatki, ale jej czerwień ani trochę nie spłowiała przez lata. Wisi nadal w mojej szafie, w domu z widokiem na rzekę. Czasem ją przymierzam i pytam lustro, kiedy ja tak urosłam.